

Legendy

O Żelechowie krąży wiele legend i podań. Do najbardziej znanych należą te, które opowiadają o powstaniu miejscowości.

Legenda o bitwie między Lachami a Jaćwingami

Według starej legendy, w pierwszych wiekach istnienia państwa polskiego w miejscu, gdzie obecnie leży Żelechów, stoczona została krwawa bitwa między oddziałem wojów polskich, a silną watahą Jaćwingów. W bitwie tej Polacy, zwani Lachami, ponieśli klęskę. Przez długi czas okoliczni mieszkańcy opłakiwali tych, co polegli w bohaterskiej walce z groźnym i okrutnym wrogiem. Dla upamiętnienia poległych w boju Lachów i dla wyrażenia bólu i żalu, miejsce bitwy nazwano „Żal Lachów”. Nazwę tę nadano później powstałej tu wsi, zmieniając z czasem „Żal Lachów” na „Żelechów”.

Legenda o założeniu Żelechowa przez Żelecha

Według innej teorii, nazwa miasta pochodzi od starosłowiańskiego imienia Żelisław, w skrócie Żelech. Tak rzekomo nazywał się protoplasta rodu Ciołków, domniemany założyciel osady. W 1945 r. legendę o założeniu Żelechowa przez Żelecha zapisał w poetyckich słowach Zdzisław Wojtowicz, badacz dziejów miasta:

Przez puszcę pełną wszelakiej zwierzyny

jechał raz rycerz, a z nim słudzy zbrojni.

Jechali wolno wśród leśnej gęstwiny

po chrześcijańsku wszyscy w krzyże strojni.

Szukali sobie miejsca na siedlisko,

gdyż im ich gródek spalili Tatarzy

podczas najazdów na ziemię bieczycką.

Patrzyli czy im się miejsce nadarzy.

Jakoż już mieli chyba miejsce godne,

bo stary rycerz wstał i tak powiada:

„Tu jest źródółko i ziemie też płodne”

więc Żelech Ciołek gródek tu zakłada.

Najpierw więc ołtarz polny zbudowali,

a ksiądz odprawił bezkrwawą ofiarę,

którą pobożnie wszyscy wysłuchali,

bo wszyscy znali chrześcijańską wiarę.

Następnie Żelech oborał swą ziemię

(a pług ciągnęły dwa graniaste woły)

i kędy mieszkać miało Ciołka plemię,

słudzy zabili gęste częstokoły.

A później kasztel budować zaczęto,

a przy nim fosy i warownię wielką -

Kamień i glinę z okolicy wzięto,

budulec - z puszczy na budowę wszelką.

Tak więc wśród puszczy, nad brzegiem strumyka,

w małej dolinie, gdzie źródelko bije,

gdzie rosła dawniej tylko puszcza dzika

powstał Żelechów i do dzisiaj żyje.

W opowiadaniu Walentyny Trojanowskiej pt. „Dwa obrazki” opublikowanym w czasopiśmie „Zorza” w 1844 r. (t. V) zawarta jest legenda o kościółku św. Stanisława.

Legenda o kościółku św. Stanisława

Daleko stąd daleko, gdzieś aż na Ukrainie, mieszkał pan bardzo bogaty. Miał żonę jakby anioła: pobożną, piękną, cnotliwą. Miał i dostatki wielkie: wspaniałe zamki, rozległe włości i złota ogromne skrzynie. W jego borach najcudniejsza przebywała zwierzyna, stawy najlepszej dostarczały ryby i pola jego tak obfitymi jaśniały plonami, że się aż cała dziwiła okolica. Ale twarz jego zawsze pochmurna, oko tęskliwe, ustom uśmiechy nieznane, bo domu jego żadna nie weseliła dziecina. Próżno w dalekie kraje do grobu świętych śle mnogie dary i złotem ubóstwu sypie. Modlą się mnichy, ubodzy na kolanach Boga proszą. Ależ Bóg prośby nie słucha, a pan bogaty w tęsknych godzinach smutny liczy żywot.

Raz mu daleka wypadła droga aż do stolicy. Już mnogie łany przebył w podróży, rozliczne miasta i wioski, kiedy pod wieczór w podlaskiej stronie zdążył ku naszemu miastu. Szybko się powóz toczył gościńcem, już widać z dala migocą drobne ogniska, wtem nagle konie w bok się zwracają, sługi zdrzemnęły, a oczy pana lekka pomroka przyćmiła. Jemu się zdaje że nie śpi, oczy otwiera i patrzy w niebo, lecz niebo czarnym pokryte kirem, i ziemia czarna a wkoło niego pusto i głucho, i on sam jeden na świecie. Strachem przejęty, ręce do modlitwy składa, chce prosić Boga, prosić gorąco, lecz z piersi głosu żadną siłą wydobyć nie może, ni myśli żadnej ułożyć. Znów spojrział w górę, aż na tle czarnym mała gwiazdeczka zabłysła. Z początku rzuca drobnutkim światłem, coraz jaśniejszym. Płynie ku niemu i świat się cały żywych promieni napełnia blaskiem, a on w zachwyceniu zniża kolana, czoło pochyla. Znów spojrział w górę, z gwiazdy świetlistej robi się postać cudowna, święta! Biskupie szaty na niej, w twarzy anielskiej wyraz swobody, a w ręku palma męczęńska. Była to postać patrona naszej krainy! Święty Stanisław długo w powietrzu stał nieruchomo i cisza była w

całej przestrzeni, lecz w duszy pana rajskiej muzyki brzmiały odgłosy i lubość wielka go owładnęła, bojaźń ustała, a miłość silna wstąpiła w serce.

- Tu, na tym miejscu - przemówił Święty Stanisław - postaw kościółek dla chwały Bożej. Bóg ziści twoje życzenia! I każde słowo z ust świętego wyszło jak promień boski trafiało w serce ukorzonego, ogień miłości łączyło ściśle z uczuciem wiary i nadziei.

Święty Stanisław znów blaskiem gwiazdy okryty wzniósł się wysoko i zniknął. Pan zadziwiony skrył twarz w dłonie - tak został chwilę i spojrzał znowu wokoło siebie. Niebo pogodne gwiazdami błyszczący, z dala migoce światło w miasteczku. Zamiast gościńca, wokoło niego kłosiste zboże, on wśród powozu klęczy pobożnie. I konie klęły a sług zmarzonych schylone głowy. Zbudził ich - wstali, słuchali dziwów, potem znakami miejsce zatknęli. I zaraz w mieście pan z Ukrainy zrobił układy - złoto zostawił na budowanie kościoła.

Wzniósł się gmach Pański na chwałę boską, na cześć Świętego Stanisława, ale nazwiska wielkiego pana nikt się dowiedzieć nie mógł. I wtenczas tylko kiedy po ukończeniu budowy i poświęceniu pierwsza się msza odbyć miała, zajechała piękna karetka, z niej śliczna pani i pan urodny wysiedli, a po nich zniosły sługi przybyłe jasnowłosego chłopczyka i w tym kościółku po mszy najpierwszej, dzieciątko piękne jakby aniołek, przyjmując chrzest święty, imię Stanisław dostało.

W literaturze odnaleźć można również inne, mniej znane legendy. Poniższe pochodzą z książki Leonarda Sławomira Wysockiego pt. *Opowieść starej sosny. Legendy z Podlasia i Mazowsza*, Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, Warszawa 1987, s. 23-28.

Pognębienie Rafała

Zakochał się kiedyś diabeł w pięknej żelechowianeczce, jeżeli diabeł w ogóle zakochać się może, ale tak chyba było, gdyż Belzebub interweniował, diabła zwymyślał i o amorach zapomnieć kazał, a dążyć jedynie do omotania dziewczyny i duszy jej zdobycia. Ponieważ diabeł postać urodnego młodziana przybrał, panna z przyjemnością go widywała, tym bardziej, że układny był i wygadany, a także grosza nie szczędził, co o jego zasobności świadczyło. Rafałem kazał się nazywać i krakowianinem się mienił, którego w przejeździe przez Żelechów zalety i wdzięki ślicznej panny zatrzymały. Dziwiła się Zofia (bo tak jej na imię było), że nigdy czapki z głowy nie zdejmował, lecz że ludzie różne dziwactwa mieli, więc za nieszkodliwy nawyk to uznała, do wykorzenienia w przyszłości łatwy. Atoli razu pewnego, gdy miasto mu pokazywała i do kościoła chciała zaprowadzić celem zwiedzenia, poczerwieniał nagle i tak głową w zaprzeczeniu potrząsnął, że rogatywka zsunęła mu się na bok i Zofia rozek diabelski pod nią ujrziała. Rafał szybko rogatywkę poprawił, a panna nic po sobie poznać nie dała i rzekła niedbale, że skoro nie chce do kościoła, tedy do parku, nad staw pójść mogą. Uspokojony Rafał odetchnął głęboko, co również jej uwagi nie uszło, po czym pospacerowali trochę i wkrótce rozeszli się, umawiając na dzień następny.

Zofia relację w domu rodzicom ze swych spostrzeżeń zdała, a ojciec nie omieszkując sąsiadów zwołał i razem ustalili, że diabła w czasie spotkania z Zofią poświęconymi sznurami zwiążą i w wodzie święconej wykąpią, a wtedy moce swe utraci. Zaraz też do księdza poszli, aby olbrzymiej balii, którą po brzegi wodą wypełnili i sznury do niej wrzucili, modlitwy i kropidła nie szczędził. Ksiądz-staruszek ochoczo ze zbożnego zadania się wywiązał i wszyscy z niecierpliwością, spać nie mogąc, nadchodzącego dnia czekali.

Rafał, jak zwykle, wystrojony na spotkanie przyszedł, uśmiechnięty, zadowolony i przekonany niezbitcie, że w niedługim czasie rozkaz Belzebuba spełni, bo dziewczyna rękę mu przyrzeknie, co według piekielnych praw byłoby równoznaczne z zagarnięciem jej duszy. Zatopiony w radosnych

myślach, nie posłyszał, że z tyłu podkradł się doń barczysty czeladnik rzeźnicki i tęgim kijem niemiłosiernie pomacał, tak, że diabeł gwiazdy w oczach zobaczył. Sprawnie sznurami omotany, co paliły go gorzej ognia, który siedmiu Lucyferów w piekle roznieciło, a wrzucony do balii, wyc zaczął, jak nie przymierzając wataha zbójów żywcem w oliwie gotowanych. Z każdą chwilą w kąpielii owej kurczył się i malał, aż w ludzika nie większego nad dwa cale się przeobraził. Ku ludzikowi owemu, ciągle w balii pływającemu, kotka jakaś wynędzniała nagle podbiegła, łapą go wygarnęła i w pobliskie krzaki ze zdobyczą uciekła.

Tego dnia dzwony na kościelnych wieżach biły długo i radośnie. A później powiadano, że Rafała sam Belzebub, w kotkę przemieniony, od śmierci niechybnej uratował, bowiem diabłu śmierć z ręki człowieka pisana być nie może, lecz po wsze wieki w łańcuchy go zakuł, by pokoleniom diabelskim, jako przykład nieudolnego i głupiego diabła, pokazywać.

Jak chłop kusego okpił

Zawziął się kiedyś diabeł na żelechowianina i do podpisania cyrografu go namawiał, dobrobyt w zamian obiecując i spełnianie wszelkich jego pragnień do końca życia. Żelechowianin, który był człowiekiem spokojnym, pracowitym, ale przemyślnym zarazem, od diabła nie mogąc się uwolnić, bo tenże wszędzie go nachodził i kusił, judził, a zachęcał, tak kiedyś do czarta powiedział:

- Dobrze, cyrograf podpiszę, ale warunek pewien stawiam. Zadanie ci proponuję, w którym wyborze musisz dokonać i jeśli korzyść ci przyniesie, wtedy duszę moją miał będziesz, ale gdy okaże się, że straciłeś, wówczas dasz mi spokój raz na zawsze i innych mieszkańców Żelechowa przestaniesz nękać, a noga twoja więcej tutaj nie postoi. Powiedz tedy, czy się zgadzasz?

Diabeł, który dla zdobycia duszy niewinnej na wszystko by się zgodził, głową potakująco skinął, kopytem o ziemię uderzył, aż iskry poszły i zarechotał radośnie, bo już żelechowianina w piekle widział: - Zgoda!

- Chodźże więc ze mną - rzekł żelechowianin i ku chacie swojej go powiodł, przed którą diabłu zaczekać kazał i do środka nie zaglądać, a sam do komory się udał i tam dwie beczki nappełnił - do wielkiej wody aż po wierzch nalał, a do małej miodu syconego, pozłocistego, po czym denka założył i szepcząc - na chciwości własnej się złapiesz! - beczki na podwórze wytoczył.

- Wybieraj! - powiedział do diabła - i pamiętaj, że gdy lepiej wybierzesz, wtedy cyrograf podpiszę.

Diabeł na beczki spojrział i zakrzyknął: - Tylko głupi na małym by poprzestał! - i na wielką beczkę wskazał, a żelechowianin denka pozdejmował i o powąchanie lubo próbunek diabła poprosił.

Tenże pazur najpierw do beczki przez się wybranej wsadził, oblizał, splunął i ku małej podskoczył. Pokosztował i z rozkoszą cmoknął, lecz nagle wrzasnął, bo zrozumiał, co się stało i kląć niemiłosiernie począł:

- Nie, tak być nie może! - wołał - Musimy próbę ponowić! Masz tu woreczek, talarów w nim dwadzieścia, jeszcze raz pokazywał będę!

- Nie dotrzymujesz słowa - powiedział żelechowianin - ale zgadzam się, jeno nie dwadzieścia, ale sto talarów mi ofiarujesz. I przysięgnij, że trzeci raz nie będziesz chciał powtarzać!

Diabeł na Belzebuba, władcę piekieł, poprzysiął i trzos żelechowianinowi rzucił, a ten beczki do chałupy wtoczył i medytować począł:

- Poprzednio wielką beczkę wybrał i wodę w niej znalazł, sądził więc teraz będzie, że zmiany

dokonam i miodem ją napełnię, ale ja go przechytrzę i wszystko tak samo pozostawię...

Tymczasem diabeł również rozmyślał niecierpliwie:

- Skoro wprzódę dużą beczkę wskazałem, więc teraz będzie myślał, że małą wybiorę i do dużej miodu naleje i na tym go przyłapię, bo ponownie na dużą pokażę. Mójżeś już chłopie, gdzie ci w przebiegłości i w rozumie z diabłem konkurować! - i gdy tylko beczki przed chatę wytoczył, tak zrobił, jako ustalili.

Niestety, w wielkiej beczce znów woda była, więc rozeźlony czart zazgrzytał, ogon podwinął i gdzie pieprz rośnie pomknął.

A żelechowianin żył długo, a dzięki owym stu talarom dostatnio i szczęśliwie...

